NUMER 28. DNIA 22. LIPCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

O MICKIEWICZU.

W ostatnim zeszycie *Bibljoteki Warszawskiej* Marja Konopnicka wydrukowała przepyszne studjum z powodu książki Gabrjela Sarrazina „O wielkich poetach romantycznych Polski.“

Wielka epoka pierwszej połowy XIX-go stulecia odmalowana została przez poetkę szerokimi rysami i świetnemi barwami. W jej wnętrzu stawia Konopnicka naszych wielkich romantyków i tak pisze:

„Taki jest okrąg tej pałającej sfery duchów, której najbardziej rozżarzonym punktem jest duch Mickiewicza. Wyjawi on i obejmie sobą ognisko cudotwórczych potęg, rozgorzałe czucie, które podnosi i obala trony, i na czucie to, na tę broń, straszniejszą od wszelakich broni, wyzwie on w bój zaziemskie moce.

Taka jest ta niesłychana atmosfera protestu i rewindykacji, w której czyn rewolucyjny znajdzie swój najwyższy wyraz w nieśmiertelnym buncie Konrada.

Takie jest to płodne, twórcze, zapalone środowisko, w którem kolejno powstanie Wallenrod, powstaną Dziady, Księgi Narodu i Księgi Pielgrzymstwa polskiego; w którem powstanie Irydjon, Nieboska, Niedokończony Poemat i Przedświt. Powstanie Beniowski, Kordjan i Anhelli. Środowisko, w którem Mickiewicz uczyni z wykładów swoich w Kollegium francuskiem wielki spisek braterstwa uciśnionych ludów, a z „Trybuny ludów“ zawezwie na sąd, na roki, wszelką krzywdę świata.

W takiej to burzy, w takiej gwałtownej nawałnicy ścierających się z sobą żywiołów, wieszcz narodu szukał spoczynku, szukał ukojenia i „zatrzasnąwszy drzwi od hałasów Europy“, stworzył „Pana Tadeusza“.

„Pan Tadeusz“ — kawał ojczyzny wyczarowany z serca poety-tułacza, cudowna księga miłości i tęsknoty za rodzinną ziemią.

„Pan Tadeusz“... Zdaje się — nic. Jakiś tam zajazd ostatni na Litwie. Coś, co się dzieje w dalekim zakącie, do którego Europa prawie drogi nie zna, co powstaje w obrębie osobistych doświadczeń i wrażeń, wprost dla oderwania się od wrzawy czasów, dla zagłuszenia huków na paryskim bruku.

Gdy wszakże huki ustały, gdy się rozjaśnił świat dymami walk zasnuty — wyszło z tego arcydzieło, wyszła jedyna epopeja wieku. To, co było przytulone do piersi poety, jak relikwja wzięta z rodzinnego domu, okazało się szerokim obrazem życia narodowego i pierwszorzędnych historycznych zdarzeń. Okazało się, że ta kometa, która stała nad Soplicowskim dworem, zwróciwszy na północ swą ognistą głowę, trzy czwarte Europy miotłą swą nakryła.

Szumią złote orły Napoleońskie, dźwięczy pieśń Legjonów, „wpośród pól malowanych pszenicą i żytem“, oddychają serca nadzieją wolności, a uroczysty akt nadania ziemi chłopom otwiera złotym kluczem nowoczesną epokę stosunków społecznych.

Sarrazin mało ma do powiedzenia o „Panu Tadeuszu“, a w tem, co mówi, trzyma się W. M. Kozłowskiego. Od siebie — jeżeli od siebie — kładzie szczególny akcent na trudności, jakie namiętny liryk ma do zwalczenia w dziele skroś epickiem i zaznacza tryumf, odniesiony przez Mickiewicza.

„Przez ten to tryumf, przez to zwycięstwo — powiada — uznać musimy „Pana Tadeusza“ za przyrost geniuszu Mickiewiczowskiego.

Zapewne, że i to także. Ale nietylko, nie jedynie ważne. Nie najważniejsze bynajmniej. Zresztą — słuchamy jakoś bez wiary wynurz autora o „Panu Tadeuszu“. Gorzej: bez uw

Z góry wiemy, że to, co jest tchem żywym, życiem samem dzieła, przy najlepszej nawet woli autora, pozostanie, musi pozostać nieujętem, niepochwytnem zgoła dla Francuza.

Więc to nie jest główna kart tych niemoc. Na to można było z góry być przygotowanym. Niemocą ich jest rozpłynięcie się, rozlanie w jakieś płytkie wody, ich, co miały też swój pęd, swój szum i nie takie ujście mieć mogły! Te obojętne, te zmęczone, anemiczne karty, nie powinny były kończyć studjum tego. „Pan Tadeusz“ nie jest ostatniem dziełem Mickiewicza. Nie tu miejsce jego. Jego miejsce, to samo wrzenie rewolucyjnego ducha, to sam wybuch „hałasów Europy“. I co właśnie uderza, jako osobna potęga geniuszu poety, że w samem tem wrzeniu i w samym wybuchu umiał pokazać, co nieprzemienne, co wieczne, co wysłoneczni się, wyświęci, po wszelkiej burzy, po wszelkim wybuchu: ducha narodu i oblicze ziemi.

Jeżeli zresztą i byłoby prawdą, że był to akord ostatni nieśmiertelnej lutni, że bard wyśpiewał już pieśń swoją gromową, pieśń-słowo, to pieśń-czyn grzmiała jeszcze długo i szeroko.

Tutaj to, zamiast rozlewiska tego, tego wsiąknięcia materji w nic, stanąć były powinny obrazy, rozrzucone na wcześniejszych kartach. Tutaj mieć chcemy widzenie pożaru nieugaszonej miłości dla Polski, nieugaszonej żądzy służenia ojczyźnie.“

A. Kallas.

JAK SEN...

FRAGMENT DRAMATYCZNY W 1 ODSŁONIE.

(Dokończenie).

SCENA 2.

KWIECIŃSKI — KWIECIŃSKA — BRONISŁAWA — IRENA, potem SŁUŻĄCA.

KWIECIŃSKI (wchodzi — wita się): Co to?... Irenka nie w łóżku?.,.

BRONISŁAWA (zbliżyła się do ojca — patrzy i mówi stłumionym głosem): Pomyślnie załatwione?

·'IECIŃSKI (cicho): Odmówili. (Głośno do żony): Czemu Irenka nie w łóżku?

·CIŃSKA (roztargniona nieco, wciąż badająca ·ęża): Zaraz... o tak... masz słuszność. ·, teraz stanowczo pójdziesz do łóżka.

IRENA (patrzyła na ojca, nie spuszczając wzroku z jego twarzy, teraz patrzy na matkę i siostrę — potem znów na ojca): Chcecie ukryć przedemną, a nie potraficie...

KWIECIŃSKI: Przyniosłem Irence smażonego ananasa — ale nie dam, aż posłucha mamy.

IRENA: Czego ty, tatusiu, zmuszasz się do tego uśmiechu?... O, tu, koło twoich ust bolesny wyraz... a w oczach żar przepalonych łez... a w postaci całej to bezwiedne nachylenie, jakby się miało na plecach ciężar, pod którym jęknęło się z wysiłku i bólu. Znam to. — I ja czułam raz w oczach ten żar gwałtem napowrót pod czaszką wtłaczanych łez i ja miałam zapewne koło ust taki uśmiech, a w postaci owo nachylenie odruchowe... Było to wtedy, gdy chodziłam prosić o pracę i zarobek, aby wam w domu ulżyć w wydatkach. Wyście o tem nie wiedzieli... a ja chodziłam, polecając się jako lektorka, hafciarka... Byłam także w kilku biurach adwokackich... Wszędzie odmówiono.

KWIECIŃSKA: Poco... Pocoś to robiła, dziecko drogie!...

BRONISŁAWA: To było właśnie na jej siły!...

IRENA: Teraz wiem, jak wygląda człowiek, kiedy nie może ukryć, że spotkała go wielka przykrość... Tatuś chciał wziąć pożyczkę w banku... szukał podpisów... odmówili...

KWIECIŃSKI (do żony i Bron.): Czyście jej co powiedziały?

IRENA: Myśleliście, że śpię, ale słyszałam... I po co to czynicie? Czy macie mało jeszcze długów?... Strącają już tyle z tatusiowej pensji! I przepisuje tatuś papiery po nocach. Nie róbcie długów dla mnie... Nie chcę... nie!...

KWIECIŃSKI: Nie zrobię... Nie dadzą zresztą...

IRENA: O, jak to dobrze, że odmówili...

KWIECIŃSKA: Więc odmówili...?

KWIECIŃSKI: Tak.

(Za oknem znowu odzywają się świstawki).

IRENA: Teraz już są daleko.

KWIECIŃSKA: O kim mówisz?....

IRENA: Rybacy już nie czuwają pod naszemi oknami.

KWIECIŃSKA: O czem ona myśli...!?

IRENA: Tak mi to przyszło na myśl...

KWIECIŃSKA (do męża): Czy przybywa wody?

KWIECIŃSKI: Zdaje się, że opada.

SŁUŻĄCA (wchodzi): Proszę pani... Czy tutaj podać panu kolację?...

KWIECIŃSKA: Nakryj w pierwszym pokoju.

KWIECIŃSKI: Nie głodnym.

KWIECIŃSKA: Tak ci się zdaje... Nie jadłeś jeszcze dzisiaj... Irenko... chodź do łóżka... Tatusiowi trza podać kolację... Nie zje, jeśli mu sama nie podam.

IRENA: Idź, mamo. Teresia i Bronia sprowadzą mnie do łóżka.

KWIECIŃSKA (do męża): Chodź...

KWIECIŃSKI: A skosztuj Iruś tego ananasa — w cukrze smażony...

IRENA: Dobrze... Idźcie już sobie. Tatuś niech idzie spać, bo już tyle nocy nie spał. O, jaki zmęczony...!

KWIECIŃSKI: To prawda... Czuję straszne zmęczenie. Gdybym się położył, usnąłbym w jednej chwili.

IRENA: Dobranoc, tatusiu!

KWIECIŃSKI: Dobranoc! Dobranoc! (odchodzi za żoną).

SCENA 3.

IRENA — BRONISŁAWA — SŁUŻĄCA.

SŁUŻĄCA: O, jak paniuńcia ślicznie dziś wygląda! Już jutro będzie zdrowa.

IRENA: Po co wy kłamiecie, nawet wówczas, kiedy to niepotrzebne?...

BRONISŁAWA: Chodź, Irenko... położysz się... tu ci niewygodnie... (dźwiga ją).

SŁUŻĄCA: Niech się panienka na mnie wesprze.

IRENA: Sama pójdę. O, widzicie, jak mocno stoję na nogach... Ale wy idźcie spać... wszyscy...

SŁUŻĄCA: Pani powiedziała, że mogę się położyć, byle do dnia wstać...

IRENA: A nie boisz się usnąć, gdy taka duża woda?...

SŁUŻĄCA: A coby?... Woda już opada... Głupi stróż na strych uciekł, a to państwo z dołu do hotelu odjechali na noc... Głupie ludzie!...

IRENA: Śpiąca jesteś...

SŁUŻĄCA: A bo bez tyle noce nie spałam...

IRENA: I ty czuwałaś przy mnie i ty... Dziękuję ci (całuje służącą).

SŁUŻĄCA: Paniusiu

IRENA: Idź spać i śpij dobrze. No... idź już.

SŁUŻĄCA: Dobranoc panience! (odchodzi).

SCENA 4.

BRONISŁAWA — IRENA, potem KWIECIŃSKA.

BRONISŁAWA (pomogła Irenie ułożyć się w łóżku): Przyniosę ci trochę buljonu; napijesz się i uśniesz.

IRENA: Broniu... nachyl się... Tak... (obejmuje ją za szyję i całuje).

BRONISŁAWA: Ty płaczesz!

IRENA: Nie... nie!... Idź spać... I ty idź spać.

KWIECIŃSKA (wchodzi z filiżanką buljonu i zbliża się do łóżka): Co się stało?...

BRONISŁAWA (stłumionym głosem do matki): Boję się o Irenę. Zdaje mi się, że znowu ma gorączkę... Boję się, bo ta komplikacja chorób... Serce znowu bije mocno.

IRENA: Co wy tam z sobą szeptacie?... Mamo... niech Bronia idzie spać...

KWIECIŃSKA: Ależ pójdzie spać... pójdzie...

IRENA: I mama także...

KWIECIŃSKA: I ja też... gdy będę wiedziała, że Irenka śpi i nie ma gorączki... No... napij się buljonu...

IRENA: Nie dobre... Potem... potem... Niech Bronia idzie spać...

KWIECIŃSKA: No, idź Broniu! (cicho) Bądź spokojna... będę czuwała. Za cztery godziny zluzujesz mnie.

BRONISŁAWA: Dobranoc, Irenko... (odchodzi).

SCENA 5.

KWIECIŃSKA — IRENA.

IRENA: Chcę spać. I ty, mamo, połóż się. O, jak ci się oczy przymykają...

KWIECIŃSKA (podaje jej filiżankę buljonu): Wypij wszystko.

IRENA: Już... (wypiła — oddaje filiżankę).

KWIECIŃSKA: Teraz będziesz spała... Zasunę nieco parawanik, aby cię światło lampy nie raziło.

IRENA: Więcej zasunąć parawan...

KWIECIŃSKA: Nie można, Iruś... Doktor nie pozwala. Musisz mieć dużo powietrza... Dlatego też przenieśliśmy twoje łóżko tutaj...

IRENA: Kiedy ja nie chcę...

KWIECIŃSKA: No... dobrze już, dobrze... (poprawia parawan).

IRENA: Uprosiłam Boga... nie będziesz rozpaczała, mamo. Chwila jedna bólu i już...

KWIECIŃSKA: Co ty wygadujesz, Iruś?...

IRENA: Już śpię... Idź, mamo...

KWIECIŃSKA: Śpij, dziecinko... (Znaczy nad jej głową krzyż św. i cicho odsuwa się od łóżka. Gdy znalazła się w miejscu, skąd zasłonięta nie może być widziana przez Irenę, załamuje ręce i zda się modlić bez słów, dusząc w sobie krzyk, co lecieć chce ze skargą ku niebu).

IRENA: Mamo... czuję, że płaczesz...

KWIECIŃSKA: Nie, dziecinko!... Czytam książkę. (usiadła w fotelu i wzięła książkę do rąk).

IRENA: Śpij, mamusiu...

KWIECIŃSKA: Dobrze, dziecinko...

IRENA: Będę prosiła Boga, żeby anielskie chóry grały ci do snu...

KWIECIŃSKA: Oj ty... pieszczotko ty moja... (uśmiecha się i znowu składa ręce do cichej modlitwy bez słów).

(Muzyka zaczyna grać Mendelsohna Koncert „S-moll“ — by później w wyjątkach Allegra i Andante illustrować sen Kwiecińskiej, która zasypia).

IRENA (po dłuższej chwili odsuwa parawanik — patrzy i cichutko woła:) Mamo!... (gdy matka nie odpowiada, szepce) Śpi... (zasuwa parawanik — schodzi tam z łóżka, wdziewa szlafroczek, pantofelki. Teraz ubrana zbliża się na środek pokoju i znowu woła cichutko): Mamo! (potem) Śpi... (nie spuszczając wzroku z twarzy matki — odziewa się w białą, jedwabną, haftowaną chustkę i cicho, powoli, jak widmo — przesuwa się przez pokój ku drzwiom przedpokoju, za któremi zniknęła).

SCENA 6.

KWIECIŃSKA, potem BRONISŁAWA, wreszcie GŁOS.

KWIECIŃSKA (Śni. A jest to sen najpierw spokojny i miły, potem pełen niepokoju i lęku — wreszcie straszny. Gdy muzyka w trzech, jakby nawoływaniach trwożnych na alarm illustruje punkt kulminacyjny jej snu — twarz Kwiecińskiej wyraża mękę bólu. Wyciąga rękę, jakby szarpnąć kogoś chciała w tył i krzyczy:) Ratujcie! Tonie!... (zerwała się — otworzyła oczy — przeciera je. Muzyka przestaje grać. KWIECIŃSKA patrzy) To sen. (powoli przytomnieje).

BRONISŁAWA (wchodzi w negliżu ze świecą w ręku): Czy to ty wołałaś, mamo? (stawia świecę na stole).

KWIECIŃSKA: Cicho... Śpi...

BRONISŁAWA: Zdawało mi się, że słyszałam głos mamy...

KWIECIŃSKA: To nic... To nic... idź... spać... (gdy Bronisława zbliżyła się do łóżka.) Obudzisz ją...

BRONISŁAWA: Mamo!...?... (odkryła kołdrę, zobaczyła puste łóżko.) Gdzie Ira?!..,

KWIECIŃSKA (stoi już przy łóżku — patrzy, jak błędna): Co to?... Co to?...

(W tej chwili z dołu od wody odbite, wpada przez okno wołanie).

GŁOS: Łódki!... Ktoś wpadł do wody! Łódki!!

(W odpowiedzi odzywają się świstawki przeciągle, a prędko na alarm).

KWIECIŃSKA: Ach! (skoczyła do okna — otworzyła je, przechyla się i woła:) Ratujcie!... Ratujcie!...

(Świstawki wciąż świstają).

BRONISŁAWA: Jezus Marja! (wybiega).

KWIECIŃSKA (odwróciła się od okna — patrzy w pokój — tam, gdzie przedtem na fotelu zdrzemnęła się i prześniła to, co teraz czuje. Ów straszny ból, co ją we śnie tak dręczył, że miała wtedy wrażenie, jakby wyrywał jej kto serce z piersi i rozkręcał wnętrzności, ten ból wyje już tylko w jej duszy, jak echo, a ciało [illegible]iało, zesztywniało. Możnaby ją teraz wziąć za martwy posąg Nioby).

ZASŁONA.

JAN SZYMAŃSKI.

STROFY.

O znoś spokojnie swój ciężki los
I niepogodne życie,
A gdy cię dotknie przeznaczeń cios,
Cierp w tajniach duszy skrycie.

Miłością świętą i krwawą łzą
Kształć w czynach moce ducha,
Dusz innych dźwięków czujnością swą
Niech duch twój pilnie słucha.

Nie poznasz nigdy tajemnych dróg,
Duchowych przemian koła,
Lecz dąż wytrwale, gdzie ciebie Bóg
Sumienia głosem woła.

MARION.

WYROKI.

W sali sądowej mrok już zapadł, gdy sędziowie wrócili z narady i prezydujący zimnym, urzędowym głosem odczytał:

„Za napad na kasę powiatową, w celu rabunku na rzecz organizacji rewolucyjnych, oskarżeni, których winę udowodniono, a mianowicie: Kasper Błażejski, Ignacy Marczak, Jan Baruch, Piotr Śledzień, Wojciech Grzymiński i Zofja Grzymińska — wszyscy skazani na śmierć.“

I wnet, pod eskortą żandarmów, dźwignął się szereg skazańców, okutych w kajdany i iść począł ku drzwiom. Byli ze sfery robotniczej, nie starsi nad lat 18—19. Tylko na końcu postępował dwunastoletni chłopiec, prowadząc za rękę dziewięcioletnią dziewczynkę, która nie rozumiała dobrze, co się tu dzieje, rzucała na wszystkie strony wystraszonemi oczyma.

Wtem, z mroku, gdzie się skupili najbliżsi krewni skazańców, rozległ się krzyk i przeszył, jak grom, senną, ponurą salę.

— Wojtek! Zośka!...

Dziewczynka drgnęła, odwróciła główkę i napół z płaczem zawołała:

— Mamo! Mamo!...

Żandarm porwał ją za rękę, szturchnął kolbą karabina i popchnął za drugimi.

— Nielzia razgawariwat'!

Ciężkie drzwi odemknęły się i zatrzasnęły za skazańcami. Sąd wyszedł, sala opustoszała. Tylko kobieta tłukła się, jak obłąkana, dopadała żołnierzy, pytała każdego:

— Boże, Boże, czy ich zabiją? Czy ich zabiją?...

Wartownicy patrzyli na nią, jak posągi z kamienia. Żandarm zamykał salę i naglił z niecierpliwością:

— Uchaditie, uchaditie...

Popchnął ją na kurytarz. Stały tam jeszcze gromadki, pogrążone w zadumie świeżej żałoby, co spadała na nich odważona i odmierzona przez ręce, kupczące sprawiedliwością. Wysoki mężczyzna w todze adwokackiej doszedł do kobiety, ujął pod rękę, prowadził łagodnie.

— Cóż robić, pani Grzymińska, Bóg świadkiem, że resztę życia oddałbym, aby ich ocalić... Ale co tu można!... Wyrok był przysłany z góry, przed miesiącem... Świadkom moim albo nie doręczono wcale wezwania, albo ich nie chciano przesłuchiwać, albo ich aresztowano... Co to zresztą za gadanie! Jeśli można twierdzić, że dziewięcioletnie dziecko wyniosło pięćdziesięciopudową kasę...

Grzymińska patrzyła na adwokata tępem, bezmyślnem spojrzeniem. Ze wszystkich słów tych, jedno tylko czepiało się jej zbłąkanej, zrozpaczonej świadomości:

— Wojtka zabiją! Zośkę zabiją!... Za co... Boże mój, za co?

— To pan nie mówił, że one bawiły się tylko, aż tu nadleciało wojsko, zgarnęło kupą wszystkich, winnych i niewinnych i te nieboractwa z nimi!... Moje dzieci!... Niech lepiej mnie wezmą, co im po takich odrobinkach! waży to tyle, co dwa kurczaki!... Pójdę, oddam się w ich ręce. Nie można? Nie wolno? Więc co robić? Przecież, jak zbrodniarz chce zabić, to człowiekowi wolno się bronić... Przecież i zbrodniarza można czasem ubłagać!...

Adwokat mówił długo, cicho, o procedurze sądowej i niezłomności wyroków, usiłując nadludzkim wysiłkiem pogodzić ją z tem, co jest przeciwne prawom natury ludzkiej i ludzkiego czucia. Kobieta krzyczała, jak rannne, oszalałe zwierzę:

— Kogo prosić? Kogo błagać? Do nóg się rzucę, w prochu tarzać się będę, życie oddam! Nikogo?... Więc niema już ludzi na świecie!... Niema Boga!...

— Pozostaje jeszcze jedno: prośba na imię najwyższe... Ale z góry muszę panią uprzedzić, żebyś się nie oddawała żadnym złudnym nadziejom...

Kobieta, cała w słuch zamieniona, piła słowa adwokata, zawieszona duszą u ust jego.

— Tak, prośba, prośba, zaraz, natychmiast! Niech pan napisze, że to takie dzieci... małe dzieci biednej wdowy... Co komu przyjdzie ze śmierci niewiniątek? Przecież i tam są ludzie i mają dzieci... zrozumieją...

Adwokat nie miał odwagi odpowiedzieć, że tam nikt nie rozumuje i nie zastanawia się... że prośby nikt nie przeczyta... że wyroki śmierci to taki papier, jeden z tysiąca, który się podpisuje między śniadaniem i obiadem.

Rzekł tylko:

— Bądź pani przygotowana na najgorsze.

Grzymińska nie wierzyła, nie chciała wierzyć. Zamieniła się cała w oczekiwanie, nadsłuchiwała; lada szmer wprawiał ją w obłęd szalonych nadziei. Co godzinę biegła do adwokata.

— Niema odpowiedzi?

— Niema.

Przywykła do tych odpowiedzi, a przecież za każdym razem zdawało jej się na pewno, że teraz powie: „jest!“ Przychodziła znowu. Potem już nie pytała, tylko stawała w progu, a on wiódł przecząco głową, automatycznym, beznadziejnym ruchem.

— Byłam pod więzieniem, zdawało mi się, że słyszę płacz Zosi: „mamo! mamo!“... Ona, biedactwo, nie umie się sama ubrać... Czy Wojtuś jest przy niej? Czy pozwolą im być razem, aż...

Wytrzeszczyła oczy i jakby teraz dopiero zrozumiała całą grozę położenia, ryknęła strasznym, nieludzkim płaczem, tłukąc głową o mur, o posadzkę.

I znowu szły godziny...

Siadywała na schodach, łowiąc lada szelest, czatując na wchodzących. Potem przeniosła się do bramy, na ulicę. Może z daleka dojrzy żandarma — pobiegnie na spotkanie, aby prędze aby nie zapóźno...

Po nocach zrywała się, nadsłuchując.

I nic nie przyszło... Przyszedł tylko dzień fatalny... ten dzień...

Stanęła w progu. Suche usta milczały. Wpadłe oczy paliły się fosforycznym blaskiem próchna czy źrenic dzikiego zwierza.

Adwokat nie mógł się pohamować. Z nerwową wściekłością krzyczał:

— Czy nie mówiłem? Czy nie uprzedzałem? Czy nie wołałem, że pluć na nich, mordować ich, zabijać, jak psów, ale nie prosić!... nie prosić!... Idźże pani odemnie!... Czemu mnie napastujesz? czego chcesz? czego przychodzisz!...

Uciekł, bo i on czuł, że burzy się w nim coś potwornego, coś przeciwnego zdrowemu rozsądkowi...

. . . .

.....W sinej jasności poranku zobaczył ich wszystkich...

Szli długim szeregiem, jeden za drugim, w koszulach białych... Jak stado ptaków na odlocie... Wszyscy patrzyli w niebo, na słońce wschodzące, którego zachodu nie mieli już ujrzeć.

Na końcu szedł Wojtek, prowadząc Zosię za rękę, oboje w białych koszulkach, z obnażonemi, jasnemi główkami. Dziewczynka bała się i płakała:

— Wojtuś, czy to będzie bardzo bolało, co oni nam zrobią?

— Nie, Zosiu, nie bój się, pójdziemy do Bozi, tam już czeka na nas tatuś... uśmiecha się... Nie bój się, Zosiu, to nic...

Głaskał główkę siostry, poprawiał warkocze. Dziewczynka tuliła się do niego i patrzyła, nie rozumiejąc, na koniec drogi, gdzie z twardą wyrazistością wyrastała oczekująca ich szubienica...

Za nimi, odpychana przez żołdaków, pokrwawiona, okryta pianą i kurzem, biegła matka, wyjąc, jak oszalała wilczyca...

Przeszli i znikli. Tylko w ciszy oddalenia dzwonił trwożny głosik Zosi.

— Wojtuś... Czy to będzie bardzo bolało?...

. . . .

O Rewolucjo, o krwawa, bolesna matko, o dzieci własne zgładzasz na ofiarę Molowi....

W oparach krwi, dymu i ognia, budzący ciężko dzień, smutny będzie śmiertelnie... zgadnie, z jakich zakątów wypełznie zemsta? Któż ośmieli się przewidzieć, jakie nawałnice przeorzą do dna łono ziemi? Co się ostoi, a co runie na szlaku pomienistym, gdzie płynie niewinna, czysta krew dziecięca...

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

Nie mogłam zrozumieć, dopiero wytłumaczyły mi inne dzieci, że Izabelka ma święty obrazek i chce mi go darować, wzruszyło mię to biedne dziecko. Trudno mi było Wacka pominąć, wczoraj jeszcze mówiła mi Wilska, że matka ogromnie na niego krzyczała i surowo zabroniła mu oddawać cośkolwiek policjantom, przez te wszystkie dnie nie zbliżać się wcale do mnie, gdym dzieciom dawała cukierki, dziś go jednak zawołałam i powiedziałam parę słów od siebie, poczem dostał piłkę i latał ucieszony. Czyż on winien temu, że tu się urodził i że jego duszę rozwijają w podobny sposób? Czyż pozbawiając go tak wielkiej uciechy, jak posiadanie zabawki, poprawię go?

20. czerwca. Dziś po wyjściu na spacer spostrzegłam pod murem leżącą Izabelkę, leżała na poduszce, z lalką w ręku, przy niej siedziała matka.

Co to się stało, zapytałam podchodząc, co ci jest, Izabelka?

Mała podniosła rączkę, w której trzymała lalkę, uśmiechnęła się do mnie, zaraz jednak skrzywiła się z bólu. Była cała rozpalona, jak w ogniu, matka mówiła mi, że w nocy płakała, skarżąc się na ból głowy.

Moje biedne maleństwo, dwa dni temu takie to było żwawe i wesołe. Mamy straszne upały, na podwórzu kobiecem cały dzień smali słońce, a w tem słońcu bawią się z odkrytemi główkami dzieci, kto wie, czy to nie jest powodem jej choroby. Była zaledwo godzina dziewiąta rano, później bowiem, z powodu strasznego gorąca już nie wychodzą na spacer. Skrzydlakówna więc nie była z dzieckiem u doktora, który zwykle o dziewiątej przychodzi, usiadłam na stołeczku, który mi podano i rozmawiałam ze strapioną kobietą.

— Co ja pocznę nieszczęśliwa, mówiła ze łzami, jeśli mi ona umrze, toż moje życie całe, co mi już bez niej zostanie...

Uspokajałam ją, iż przecie choroba nie wydaje się śmiertelną, że dziecko jest nawet względnie wesołe.

Potrząsnęła głową.

— To wszystko prawda, rzekła, ale się tak strasznie boję, tak boję o nią; nie, pani, już niedługo tu będziemy, tylko trzy miesiące, to też ja nieraz Boga proszę, by mi dał wyjść z tych murów na świat z dzieckiem, wszak ono tu się ze mną poniewiera dwa lata i dwa miesiące, i tak wprost bez winy nijakiej.

— Za cóż pani zasądzoną została? zapytałam.

— Za nic, jak pragnę życia mego dziecka, tak za nic osądzoną zostałam. Było to, proszę pani, w mieście Łodzi, poszłam do jednego sklepu kupić Izabelce ubranko, poszłam, obejrzałam, aleśmy się z żydówką nie zeszły na cenę, wyszłam więc ze sklepu, a tu naraz wybiega za mną z wielkim lamentem i krzykiem kupcowa, łapie za chustkę i krzyczy: „Złodziejka, złodziejka, okradła mię“. Pani widzi, jestem wysoką i byłam wtedy bardzo tęgą i silną, a żydówka mała, zawiędła, to też wyrwałam się z jej rąk i gdy mię chciała powtórnie złapać, uderzyłam ją mocno w głowę. Żydówka padła na ziemię, chciałam uciekać, ale ludzi zbiegło się już wiele, przybiegł stójkowy, zatrzymano mię, żydówkę otrzeźwiono i zaprowadzono nas do cyrkułu, tam żydówka powiedziała, że ukradłam u niej dwie dziecinne koszulki, które ona mi potem na ulicy wyrwała i że ją zabić chciałam. No i za to zasądzono mię na trzy lata, mimo, iż Bogiem świadczyłam się, że nie miałam w ręku tych koszulek. Podałam prośbę o zmianę sądu i zmniejszono mi o pół roku.

Zdziwiłam się wysokości kary.

— Moja droga pani, rzekła, to nie za te koszulki, tylko za to, że to już nie pierwszy raz jestem w więzieniu.

— Jakto, zawołałam, więc pani, po pierwszem odsiedzeniu kary nie obawiałaś się trafić tu po raz drugi?

Wstrząsnęła głową.

— Pani moja, a co ja miałam już do roboty? z czego mogłam żyć? czyżby pani wzięła mię na służbę, czyżby mi dała może jaką pracę, widząc mój zabruczony pasport. Któżby złodziejkę wypuszczoną z więzienia przyjął w dom, nie, jak raz tak już poszło, to trudno, tak już iść trzeba.

Przeraziły mię te słowa. Co za straszna nędza! A Skrzydlakówna mówiła dalej:

Paniusię to straszy prawda, a com ja naprawdę winna? Tak już poszło życie, gdyby mi matka nie umarła, pewno byłoby inaczej, a tak co?

Mieliśmy swój kawałek ziemi, swój dom, całą kolonję, dziesięć lat miała siostra, ja osiem, gdy matka nam umarła. Po jej śmierci wszystko się rozlazło, ojciec rozpił się, roboty nie robił żadnej, tylko wódka i dziewczęta. Co się u nas działo, to pani tego wiedzieć nie może, jakąśmy poniewierkę przeszły, ja i moja siostra. We dwa lata to już kolonja nie naszą była, kupił ją niemiec jakiś, ojciec niby się opamiętał, i dziewczyny go już rzuciły, w Warszawie mieszkała ciotka nasza, siostra matki, odwiózł nas do niej. Ciotka, dobra kobieta, miała swój sklepik z pieczywem, dobrze nam u niej było, trochę nas sama uczyła, potem chciała posyłać do jakiejś pani, byśmy się szycia i haftu uczyły, ale tam trzeba było płacić, napisała do ojca, by przysłał trochę pieniędzy, ale jego znów dziewczęta obsiadły i resztę grosza zabrały, całe dwa lata znów tak przeszło, w końcu wuj się zagniewał na ciotkę, że cudze dzieci chowa i odwiózł nas do ojca; znowu rozpoczęło się dla nas życie ciężkie, tem cięższe, że już i starsze byłyśmy i innego życia spróbowałyśmy, a tu piekło, paniusiu, nie życie. Ojciec związał się z jakąś babą pijaczką, miała ona córkę, już sporą dziewuchę, całe dnie i noce pełno było w mieszkaniu, nic tylko pijatyka, gra w karty, kłótnia, hałasy, bitwy, bo i ojciec bił babę i ona mu też oddawała, córka zarabiała, no wie pani, jak to takie dziewuchy zarabiają. Cośmy tam znowu przechodziły. Musiałyśmy wysługiwać się wszystkim, posługiwano się nami, a za to marłyśmy głodem i chłodem. W końcu, Julka, siostra moja, że starszą była, miała już trzynaście lat, uciekła z domu, nikt odtąd o niej nie słyszał, a co prawda, to i nie bardzo kto szukał, ot była, nie była.

Izabelka jęknęła, przerwała więc swe opowiadanie Skrzydlakówna, uniosła dziecinę do góry, podała jej trochę wody do ust i mówiła dalej:

— Paniusiu moja, Bóg tylko widzi, że kocham to dziecko nad życie, że jeśli mi ona umrze, to ja żyć nie będę, ale gdybym wiedziała, że ona patrzeć będzie na to, com ja przechodziła, to niechże ją lepiej dziś śmierć zabierze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Adorski: W kajdanach, dramat polityczny w 3 aktach z prologiem. Lwów, 1906.

Ze studenckiego światka zaczerpnął autor motywów do swego „dramatu politycznego“. Właściwie utwór ten sceniczny dramatem nie jest, gdyż brak mu, choćby najmniejszego nerwu dramatycznego — są to raczej uscenizowane protokoły posiedzeń i kroniki politycznych walk między studentami Wszechnicy Jagiellońskiej, walk na tle wyborów do „Bratniej Pomocy“. Przesuwają się przed naszemi oczyma postacie ze wszystkich obozów wojującego w polityce światata tej dzielnicy Polski. Są najzatwardzialsi stańczycy i frazesowicze, szowinistyczni wszechpołacy — jest zapalna koncentracja krakowska i żywiołowa siła synów ludu, w zwycięskim ostatecznie odłamie ludowców uosobiona— jest wreszcie socjalizm międzynarodowy i polski, socjalizm, oparty na Żydach i Królewiakach, posiłkowany galicyjską armją roboczą. Brak by tylko było w tej kapeli klerykała, ale całe wstecznictwo wzięli „godnie“ na swoje barki reprezentanci stańczykierji — wszystko więc już jest.

Terenem walki i jej celem są owe wybory. Bohaterowi „dramatu“, demokracie polskiemu, chodzi o połączenie sił t. zw. narodowych przeciw naporowi socjalistów, Rusinów, Żydów i — ludowców, którzy w ten sposób ściągają również na siebie zarzut antynarodowości. A ta druga strona, posądzona o odstępstwo narodowe, łączy się w imię postępu, w imię dobra publicznego, którego przestrzegania nie można się spodziewać po tamtych, kroczących pod flagą opiekuńczą konserwy. Zwycięstwo wreszcie przy postępowcach: prezesem Bratniej wybrany Jędrek-ludowiec, charakter silny, niesprzedajny, prawdziwy syn ludu tej ziemi. Ale nim dostają mu się te tryumfy, czytelnik-widz musi się naczytać i nasłuchać wszystkich, wybrakowanych już obelg na ruch ludowy, musi być świadkiem samochwalstwa każdej partji — czego przeprowadzenie udało się w pełności autorowi. *Wł. W.*

Pamiętnik kobiety upadłej... wydany po jej śmierci przez Małgorzatę Böhme. Tłum. z niem. Dr. Felicja Nossig. Lwów. H. Altenberg. 1906.

Rzeczywistość bardzo częsta. Młodziutką dziewczynę Tymian Gottebal — uwodzi jakiś jegomość ani kochany, ani kochający. Po przekazaniu dziecka na własność bezdzietnemu małżeństwu Petersów, Tymian, za poradą ciotki, oddaną została na „poprawę“ do arcymoralnej, arcypobożnej pasterskiej rodziny Daubów. W tej dewocyjnej, bezustannie kaznodziejskiej — równocześnie zaś ordynarnej, złośliwej i obłudnej atmosferze — młoda, bujnego temperamentu, nawet intelektualnie obudzona, Tymian wytrzymać nie może. Lecz ojciec do siebie jej wziąć na razie nie chce — ani też gdzieindziej umieścić, miłość zaś matki zastępuje jej dobre, ale nieżywe serce ciotki, starej panny, która niezdolna jest zorjentować się w przejściach duchowych dziewczyny. W takiem położeniu Tymian nie znajduje innego wyjścia niż ucieczkę. Gdzie? do współtowarzyszki akuszerskich perypetji, Koci Liesman. U niej pozostaje Tymian w niezdecydowanej roli półprzyjaciółki, pół-pokojówki do czasu. Poznaje się bowiem z inną damą, Kindermannową, która — oceniwszy młodość i nadzwyczajną piękność Tymian — nakłania ją do opuszczenia Liesman, a zamieszkania u siebie. Dom pani Kindermannowej da się określić mniej więcej jako prywatny dom schadzek. Początkowo życie to ma pewien niesamowity urok oszołomienia. Nieustający wir zabaw stwarza jakby surogat miłości i szczęścia. Rychło spada katastrofa. Kindermannowa idzie do więzienia — a Tymian uchodzić musi do Berlina, gdzie brak stosunków degraduje ją do rzędu, choć tajnych, lecz wyraźnych prostytutek. Z tego upadku dźwiga ją na chwilę miłość, miłość zresztą nieszczęśliwa, bo ukochany mężczyzna jest człowiekiem żonatym. Udziela jej jednak pomocy, aby z dawnego życia otrząsnąć się mogła; nie na wiele się przecież owa pomoc zdaje, gdyż klątwa znajomości porzuconych i wogóle przeminionych dni spycha Tymian — mimo rozpaczliwe wysiłki z jej strony — napowrót wdół... Niby z powieści pożyczona śmierć (śmierć damy kameljowej), przekreśla ostatnie nadzieje, ułudne przebłyski wiosenne nadchodzącej już jesieni. Zwłoki tej tak zaprzepaszczonej egzystencji, tak zniweczonego materjału na normalną i szczęśliwą kobietę, odprowadzają na miejsce wiecznego spoczynku, jedyny przez Tymian kochany, dr. D. i przyjaciółka ostatnich lat jej życia, autorka Böhme. U wyjścia z cmentarza żegna doktor panią Böhme słowami: „Niech Bóg ochroni nasze dzieci“. Ten plaster moralnej tendencji przylepia po przegrywce własnych refleksji jeszcze raz autorka czytelnikowi. Zgoła niepotrzebnie a fałszywie. Niepotrzebnie — bo wobec bogatej, wzruszającej i przekonywującej rzeczywistości, pseudo-artystyczny kleks ma wartość zera. Fałszywie — bo kleks ten fałszywie ujmuje wyniki myślowe, jakie książka powinna obudzić. Oskarżenie tysiąca kłamstw, podłości i niedostatków społecznego ustroju — godzi się załatwiać rezygnacyjnem westchnieniem? to tylko dezorjentacja dla tępszego czytelnika.

Książkę psuje trochę literackość. Może winę ponosi tu wydawczyni, lecz równie dobrze może być, że i sama autorka pamiętnika zanadto po literacku chwytała i w oddawaniu zniekształcała przeżycia swoje, jednak w znacznym stopniu zachowała się bezpośredniość rzeczywistości — i to jest, co książce nadaje wartość. Ale za wybryk reklamy wydawniczej uważać należy inskrypcję na opasce: „Każdy dorosły mężczyzna i każda dorosła kobieta powinna tę książkę przeczytać.“ Takiego znaczenia „Pamiętnik upadłej kobiety“ nie ma. Korzyść z odczytania go oczywiście jest — ale zupełnie mierna.

Ad. Z.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.